Nr. 3. We Lwowie, marzec, 1923 Rok XLIV.

ŁOWIEC

ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

Kalendarz łowiecki **W marcu wolno polować** na cietrzewie i głuszce, dropie i pardwy, ptactwo błotne i wodne i na słomki.

Do członków! Wkładka członkoska M. T. Ł. na II-gi kwartał r. 1923 wynosi 8.000 Mkp.

Cena pojedynczego egzemplarza 2.000 Mk. — Prenumerata na II-gi kwartał r. 1923 — 5.000 Mk.
Ceny ogłoszeń: cała strona 200.000 Mk, 1/2 str. 100.000 Mk, 1/4 str. 50.000 Mk. 1/8 str. 25.000 Mk, 1/16 str. 15.000 Mk, 1/32 str. 7.000 Mk. Ogłoszenia wewnątrz tekstu o 50% drożej.

Redakcja i administracja: Lwów, ul. Mickiewicza l. 6. w podwórzu (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Adres telegramów: „Łowiec", Mickiewicza 6. — P. K. O. Konto Nr. 145.839.

TREŚĆ: Dr. H. Malsburg: Z wiosną. — Stefan Badeni: Słomki. — Franciszek Heydel: Polowanie z puhaczem. — Dr. J. Kalm-Podoski: O psach rasowych i rasach psów. (c. d.) — Wład. Jankowski: Heco, Heco, hedżgoha! (c. d.) — Ch. Roberts: Towarzysze boju (feljeton). — Strzemię: Ciąg słomek (wiersz). - Korespondencje: Niemirów, Pryma, Stanisławów, Radziechów, Lwów, Beremiany.— Zamknięcie polowania: Żydaczów. — Sprawy Towarzystwa: Posiedzenie Wydziału dnia 7. lutego. — Od Wydziału i Redakcji.— Sprostowania. — Centralny Oddział Kinologiczny w Poznaniu. — Po zamknięciu numeru.

Dr. H. MALSBURG.

Z wiosną.

Myśliwy, jako fantasta i dziecię przyrody, nie stosuje swego życia do martwych terminów kalendarzowych, nie rozpoczyna roku z dniem 1. stycznia i nie kończy go w wieczór sylwestrowy, ale trzymając się ściśle praw natury, wspólnie z nią żyje i według niej się stosuje.

Gdy przyroda zmrożona wichrami północy i spowita lodami, zapada w najtwardszy letarg zimowy, gdy zwierzyna, wycieńczona głodem, z trudnością ledwie wyżywić się może, co ma miejsce w miesiącu styczniu, myśliwy, syt wrażeń i tryumfów, wiesza strzelbę na kołku, odpoczywa, czyni obrachunek z minionego roku i układa plany na rok przyszły.

Lecz skoro z wiosną pod wpływem ciepłych promieni słonecznych, lody i śnięgi stopnieją, a ziemia i przyroda ze snu zimowego do nowego życia budzić się poczyna, już i myśliwy dąży do kniei, by rozpocząć swój żywot „sezonem wiosennym“.

Sezon ten nie jest nigdy obfity w rezultaty ilościowe, więc nie przedstawia wartości dla „myśliwych“, polujących dla „mięsa“ i nie daje sposobności, w porównaniu z sezonem jesiennym lub zimowym, do rozkładów rekordowych. Jest on natomiast najmilszym i najcenniejszym (jakkolwiek najkrótszym) dla myśliwych-romantyków, miłujących i cenią cych przyrodę i jej przejawy, wrażliwych na jej piękno. Jest to sezon marzycielski i poetycki, opiewany tylokrotnie poezją i prozą, przez naszych najgenjalniejszych mistrzów pióra.

I któryż z myśliwych nie odczuł błogich rozkoszy, stojąc w lesie, w ciepły, wonny, wieczór kwietniowy, w blaskach purpurą zachodzącej tarczy słonecznej, wśród chóru skrzydlatych śpiewaków, w oczekiwaniu miłosnego wabienia słomki, na czułe rendez-vous, głosem: „pst! pst! chrap, chrap, chrap!“

Kto z polujących na głuszcze zapomni te tajemniczo urocze podchody (względnie podskoki) w mrokach leśnych, do „grającego“ koguta, jego „pieśń“ i te skale barw i świateł wschodzącego słońca?

Któż wreszcie nie opuszczał ze smutkiem kniei późnym rankiem, dobrze już złotemi promieniami ogrzanej budki, skąd był świadkiem walk, pląsów i „glukania“ tokujących cietrzewi?

I mimo doznanego często zawodu z powodu chybionego strzału, mimo daremnych trudów, niedospanych nocy, prawdziwy przyrodnik-myśliwy, myśliwy artysta i poeta czuje się szczęśliwy, oszołomiony tem tchnieniem wiosennem przyrody, nasycony doznanemi wrażeniami wszystkich prawie zmysłów i chciałby, by te toki — te ciągi, trwały co dnia — nieprzerwanie — by ta wiosna trwała wiecznie! wiecznie!...

* * *

Wraz z polowaniem na głuszce, cietrzewie i słomki, pozwalają nasze ustawy łowieckie polować na wiosnę na ptactwo wodne i błotne.

Kto chce jednak użyczyć na swych wodach szczerej gościnności tej ruchliwej i krzykliwej rzeszy ptaków i zachęcić ją do gnieżdżenia się, ten nie będzie płoszył na wiosnę czółnem lub strzałami miłosnych parek, które z wdzięczności za to, obdarzają go w lecie całemi stadami podlotów i kłapaczy.

W marcu koci się już zajęczyca, kuropatwy rozbijają się na małżeńskie pary, grzywacze zakładają gniazda, wszystkie ptaki prześcigają się w zalotach i łączą się w małżeńskie stadła. Więc w kniei i w polu należy im się w czasie lęgu i wywodzenia potomstwa, jaknajwiększy spokój i cisza. Natomiast całą uwagę zwrócić powinien myśliwy na tępienie czworonożnych lub skrzydlatych drapieżników, strzelając włóczące się po polach psy i koty, tępiąc jastrzębie, wrony i sroki i niszcząc ich gniazda, lub wybierając jaja i pisklęta.

Również i na szkodników zwierzyny z rodzaju „homo sapiens“ a gatunku „rusticanus“, zwłaszcza młodszych ich latorośli, baczne trzeba mieć oko, by nie łowili młodej zwierzyny i ptactwa użytecznego, nie psuli ich gniazd i jaj. Jakkolwiek na słonecznych zboczach pojawia się wcześniej młoda roślinność i zielenić się zaczyna ruń oziminy, to ze względu, iż sarny w tym czasie podpadają najbardziej chorobom, zrzucają zimową sukienkę i przybierają letnią szatę, a rogacze ponadto kończą rozwój porostków, należy w kniei nadal jeszcze rozkładać pożywną i soczystą karmę i zakładać lub odnawiać lizawki.

Bażantom, z powodu lęgu, podsypywać należy jeszcze ziarno, co je tembardziej powstrzyma od przenoszenia się w inne okolice.

Od czerwca wolno odstrzeliwać rogacze. Ponieważ jednak osłabione zimą lub chorobami nie są jeszcze w „pełnem mięsie“, w razie późnej wiosny lenienie się ich niezupełnie jeszcze ukończone, a porostki nie zawsze już należycie starte, przeto odstrzał kozłów lepiej odłożyć do lata.



STEFAN BADENI.

Słomki.

W ciągu bezbarwnego, wodnistego marca, wraz z przełomem, który się w przyrodzie przygotowuje, odbywa się przełom w duszy myśliwego. Nikną w niej mniej szlachetne uczucia, piękne biorą górę. Myśliwy zniechęcił się do roli krwawego w przyrodzie kosiarza, przypomnienie gwarnej, zimowej kniei nie cieszy go, a nawet panująca dotąd w jego wyobraźni wizja potężnego dzika ustąpiła; odmienne wręcz pragnienia ożywiają go, nie zniszczenia pragnie, lecz życia; chce być choć cichym widzem cudu odrodzenia, który się rozegra. I dlatego ta chwila, gdy poraz pierwszy na wiosnę stanie znowu w miejscu, gdzie się ciągnących słomek spodziewa, taka jest uroczysta. Myśliwy chciwie się łączy z tym tajemniczym dreszczem, który las i przyrodę całą przebiega, wchłania w siebie wszystkie oznaki poczynającej się wiosny. Inna to jest wiosna, aniżeli ta, którą zwykle poeci opiewają; tej myśliwy zbytnio nie lubi; by odczuć wiosnę, on nie potrzebuje ciepła słońca, zapachu kwiatów, majowych treli słowików — on chwyta stokroć delikatniejsze odcienie i w nich rozkosz upatruje.

Jemu wilgotna ziemia śle swą chłodną woń, gdzieniegdzie świeższa trawka połyskuje, daleko na łące bezustannie użala się czajka. W lesie z rzadka tylko odzywają się kosy i drozdy i jakże nieśmiało! Jakgdyby nastrajały się dopiero do kwietniowego, z tysiąca ptasich gardzieli, koncertu. Jeden tylko muzykant w pełni się odzywa, kszyk, skrzypek niestrudzony, jak maleńka strzałka spada ciągle z wyżyn w niższe przestworza. Za kilka dni monotonja tych dźwięków znudzi, dziś są mile witane. Ale i kszyk przed nastaniem ciemności ucichnie, tak, jak umilkły już kos i drozd; teraz z łoskotem krzyżówki z bagienka porwały, ona krzyczy rozgłośnie, on za nią podąża i cicho przemawia, jakgdyby uspokoić chciał — przepadły w mroku; jeszcze rogacz gniewliwie się odezwie, puszczyk w płacz uderzy, cisza coraz większa obejmuje las. Słomki chyba dzisiaj nie będzie! Kilkakrotnie już myśliwy zwiedziony skrzypnięciem bucika lub rzemienia przy strzelbie, głowę zwracał — lecz oto drgnął — gdy się słomka odezwała, nie istnieje wątpliwość, słucha spokojnie, gwizdanie i chrapanie brzmi miarowo, dziś, jak rok temu, jak corocznie, szepce doń wiosna i oto, poza obrębem strzału, nad linją, niewyraźnie majaczący punkt połączył szczyty dwóch bezlistnych olch. Raz jeszcze odezwie się tasama słomka, powracając z drugiej strony, ale noc już zupełna. Nie strzelał myśliwy, a radośnie idzie drogą powrotną.

Od czasu do czasu odzywają się wnioski, by odstrzał wiosenny — i poza nakazem kalendarza — ograniczyć. Wnioski te, z góry należy przyznać, nie są pozbawione słuszności. Lecz autorowie ich często całkiem błędne wyjawiają zapatrywania. Dawno przed nami niemcy, którym nikt nie odmówi racjonalnego i szlachetnego pojmowania myślistwa, badali tę sprawę dokładnie i ze znajomością rzeczy. Otóż stwierdzonem jest aż nadto, że słomki przebywają i gnieżdżą się na obszarach świata niezliczonych, ogromnych i niedostępnych, w ilościach tak olbrzymich, iż o przyszłość tych ptaków troszczyć się nie potrzeba. Nawet, gdyby myśliwi nie Polski, lecz całej Europy zgodnie postanowili nie strzelać ich na wiosnę, jeszczeby to na szali nie zaważyło. Pojawienie się słomek u nas w ilości mniejszej lub większej, zależnem jest jedynie od czynników klimatycznych i atmosferycznych. Każdy starszy myśliwy wie, że po kilku sezonach słabszych następuje znowu nalot tak obfity, iż z miejsca obala wszelkie pesymistyczne teorje. Jeśli natomiast w niektórych krajach, n. p. w Niemczech, liczba długodziobych ptaków rzeczywiście maleje, to przyczyną tego jest — kultura. Osuszanie gruntów leśnych, odwadniania łąk, trzebież lasów i eksploatacja tychże intensywna, oto wrogowie słomki, którzy jej pobyt utrudniają i którzy ją na inne szlaki kierują. Ograniczenia odstrzału wiosennego — zgodzili się na to wszyscy badacze słomki, autorowie monografji o niej, a głosił to także słowem i czynem Kazimierz Wodzicki, niema dla wzrostu ilości słomek praktycznego znaczenia. Mimo to wszystko atoli uważam, że lepiej jest zaniechać porą wiosenną polowania z nagonką lub przez tak zwane buszowanie. Przedewszystkiem wszelka w lesie zwierzyna ma w tym okresie prawo do spokoju, drugi wzgląd, to pewna estetyka łowiecka. Skoro się możemy codziennie nacieszyć polowaniem tak dla wiosny typowem, tak pięknemi cechami obdarzonem, jak polowanie na ciągu, to powinniśmy mniej piękne pozostawić właściwością jesieni. Polowanie zaś na ciągu, słuszniej mówiąc, na toku słomek, uprawiajmy tak, jak na to zasługuje; tych najpiękniejszych może w roku łowieckich chwil, myśliwy nigdy się nie wyrzeknie i każda zmierzająca do tego propozycja, spotka się z odprawą. Ilość samic strzelanych na toku jest bardzo niewielka. Sekcja dokonana na 137 słomkach, zabitych w kilku rewirach Kroacji, Alzacji i Meklemburgji w roku 1913, wykazała samic tylko 23. Czy każda chrapiąca słomka jest samcem — należycie dotąd jeszcze nie stwierdzono, mimo, że większość ornitologów chrapanie li płci męskiej przypisuje.

Mało u nas znanym, a jakże uroczym jest tok poranny. Jest on o wiele żywszy od wieczornego, chrapanie prawie bez przerwy zewsząd się rozlega. Wcale zaś nie jest regułą, iż trwa krótko i wśród ciemności tylko.

Wogóle reguły co do zachowania się słomek na toku, ustalić się nie dają. Pewien myśliwy, oczywiście znowu niemiec, przez lat 17 uczęszczając na ciąg, zapisywał codziennie wszystkie szczegóły atmosferyczne, oraz zachowanie się słomek. I do tego tylko doświadczenia doszedł, że słomka kieruje się pewnem przeczuciem pogody. Kto się wybiera na ciąg, dobrze uczyni, wstrzymując się od wszelkich odnośnie doń przepowiedni.

Bardzo nieliczne słomki, które spotykamy co roku u nas po 20 kwietnia, możemy uważać za lęgowe. Nieprawdopodobnem mi się jednak wydaje, aby słomka w ostatnich czasach stawała się ptakiem wybitnie lęgowym u nas. Coby ją miało skłonić do porzucenia prastarych zwyczajów? Słomka gnieździ się w ciągu wiosny i lata dwukrotnie, daje więc życie ośmiorgu, rzadziej sześciorgu młodym. Owe ptaki, które zdarza się widzieć i słyszeć chrapiące w czerwcowe i lipcowe wieczory, są to zakochani powtórnie mężowie. Strzał do nich nie kusi, wiosna minęła; taksamo, jakby niesmak budziło polowanie na dziki w kwietniu, gdy nagonka kosy i drozdy z gąszczy wypędza, taksamo nienaturalnym byłby strzał do słomki, gdy las tonie w morzu bujnego listowia i zawzięcie w nim kuka kukułka. Każde łowy wymagają swoich warunków, swojej scenerji!

Zaledwie w drugiej września połowie pierwsze długodzióby zapadły w naszych lasach, ponawiają się w myśliwskich rozmowach odwieczne spory, czy jest jedna, czy więcej odmian słomek. Wielu myśliwych zazdrośnie jeszcze strzeże tradycji podziału na słomki mniejsze i na tak zwane sówki, które jakoby w jesieni wcześniej, na wiosnę później przybywały. Wszyscy jednak myśliwi chętnie i zgodnie dążą do lasu. I jesienne polowania przyroda wielce uszlachetnia. W marcu witaliśmy wiosnę, teraz żegnamy tęsknie jesień konającą pięknie, w tęczowych blaskach października. I nieraz przyroda wystarczyć musi, gdy słomek nie widać w miotach. Już zając, niepomny zimowych przygód, ospale przykicał, widok linji w zadumę go wprawił, szklanem okiem na nią spogląda. Tu znowu młody lis obojętnym truchtem dąży prosto do środkowego stanowiska; stanął jak wryty, zdumiony patrzy na człowieka poraz pierwszy w życiu, ale i ostatni. Wzbił się w błękit myszołów, niebawem ustąpi miejsca zimowemu krewnemu, kwileniem więc żegna strony, gdzie mu dobrze było; od linji myśliwych kilka bezsilnych strzałów padło ku niewinnemu ptakowi; skwitował je zaledwie pogardliwem strzepnięciem skrzydeł. Tak schodzi miot po miocie, myśliwych i nagonkę ogarnia coraz większa apatja. Aż nagle w miocie niczem się od tamtych nie różniącym, coś, jakby burknięcie — głośny okrzyk w nagonce potwierdza je i jakby pod dotknięciem elektrycznem wszyscy strzelcy się porwali, stoją z wznie-

sioną nieco strzelbą i wyciągniętą szyją; coś płowego mignęło nad linją, suchy trzask strzałów — jeśli chybiona, niech się pocieszy strzelec, będzie miał zaraz sposobność poprawić się. Słomki rodzinami podróżują, więc, jeśli las nie opolowany, słomki nie rozbite, to jest ich jeszcze kilka w tym miocie, a że są płochliwe, więc nagonka, choć nieliczna, spędzi ją z pewnością.

Nieraz słyszy się zdania, że strzał do pędzonej słomki jest bardzo trudny. Zdaje mi się, iż działa tu pewna sugestja, która do tylu nęcących właściwości tego ptaka i tę dodaje. Jednakże, o ile widok słomki nie wytrąci strzelca z równowagi, to strzał do niej jest, mimo jej lotu kryjącego w sobie niejedną niespodziankę, mojem zdaniem, łatwiejszy, aniżeli naprzykład do pędzonych w remizach i laskach kuropatw, do bażanta, jeżeli daleko od linji porwał i znajduje się w pełnym locie, a nawet do kaczek na ciągu.

Słomka jest ptakiem uroczym; pobyt jej u nas zaledwie na tygodnie się liczy, dlatego nigdy nie przestanie ona pociągać przyrodników, roznamiętniać myśliwych — tomy o niej pisano, ja w tej krótkiej pogawędce chciałem poruszyć kilka szczegółów mniej może u nas znanych, ale przedewszystkiem pragnąłem teraz, gdy jeden okres myśliwski się skończył, a drugi nie rozpoczął jeszcze, potrącić o strunę, która w duszy myśliwego zawsze czułą pozostanie.



FRANCISZEK HEYDEL.

Polowanie z puhaczem.

Czytając od dłuższego czasu „Łowca“, nie spotkałem się jeszcze nigdy z opisem polowania z puhaczem na ptaki drapieżne. Ponieważ uważam to nie tylko za przemiłą rozrywkę myśliwską, ale i za rzecz bardzo pożyteczną, gdyż tym sposobem tępi się szkodniki i wprawia nadzwyczajnie w strzelaniu do ptaków, co wyrabia świetnie rękę i oko — myślę więc, że niejednego zachęcę do kultywowania tej gałęzi myślistwa.

Polując przez cały tegoroczny jesienny sezon z puhaczem, nabrałem trochę praktyki i wrażeń, któremi chciałbym się z czytelnikami „Łowca“ podzielić. Wiadomości teoretyczne zaczerpnąłem z dzieła niemieckiego autora Hüttenvogel p. t. „Die Hüttenjagd mit dem Uhu“, a w praktyce zastosowałem je do obecnych i miejscowych warunków.

Najważniejszą osobistością na takiem polowaniu jest naturalnie puhacz (Strix bubo). Całe polowanie oparte jest na wrodzonej nienawiści, jaką czują drapieżne ptaki dzienne do puhacza. Ponieważ mają one nadzwyczajny wzrok, więc spostrzegłszy zdaleka puhacza (który powinien być umieszczony w miejscu widocznem na polu na t. zw. berle) ściągają do niego. Myśliwy w odległości 30 kroków od puhacza siedzi ukryty w budce specjalnie na ten cel zbudowanej, lub w gęstych krzakach i oczekuje zbliżenia się drapieżnika. Dobry puhacz ma nie tylko bardzo dobry daleki wzrok ale i świetny słuch (po szumie skrzydeł nadlatujących ptaków orjentuje się on) i znaczy zbliżenie się nieprzyjaciela w ten sposób, że się jeży, opuszcza skrzydła, przystępuje z nogi do nogę, a przy samym ataku drapieżnika syczy i klapie charakterystycznie dziobem. Wprawny myśliwy znający dobrze swego puhacza, może po dłuższej praktyce wiedzieć jakie drapieżniki mu puhacz znaczy, gdyż zachowanie się tegoż zależy od gatunku ptaków jakie na niego biją; n. p. z wron i srok prawie nic sobie nie robi — do myszołowów tylko się puszy i naturalnie rozgląda, gołębiarze zaś, krogulce, sokoły i orły działają już puhaczowi bardzo na nerwy, tak, że energicznie klopie dzióbem, a często nawet zeskakuje z berła na ziemię, przy zbliżaniu się orła, kładzie się nawet na ziemię na grzbiet szponami do góry. Myśliwy ukryty w budce lub w krzakach oczekuje odpowiedniej chwili do strzału.

Przy polowaniu z puhaczem bardzo ważną rzeczą jest wybór odpowiedniego miejsca, z którego rozlega się daleki widok, — a więc na pagórku, na brzegu lasu i wogóle tam gdzie lubią ciągnąć ptaki n. p. wzdłuż pasma gór; najodpowiedniejszem dla mnie miejscem jest szczyt ścianki naddniestrowej, skąd rozlega się widok w promieniu 4 klm. przeszło; na prawo dolina Strypy i ujście tejże do Dniestru, na lewo kolano Dniestru, a u stóp 150 m. wysoka ściana, prawie, że prostopadła. Nie potrzebuję tu długo czekać, gdyż normalnie w pierwszych 5 minutach (zależy od dnia i wiatru) zjawia się jakiś myszołów lub inny drapieżnik. Budka do polowania z puhaczem może być podziemną lub też nadziemną. Pierwsze są lepsze jako mniej wpadające w oko, budowa jej jednak uciążliwsza. Wnętrze jej powinno być na tyle obszernem, by można wygodnie stać i poruszać się, a więc 1·60 m. w kwadrat a 1·90 m. wysoka. Od góry lekko spadzisty dach zamaskowany darnią, kamieniami i gałęziami. Okienko do strzału z zasady powinno być zwrócone na północ, ze względu na oświetlenie słoneczne przy strzale. Wnętrze budki można ewentualnie urządzić z komfortem — a więc ławkę, krzesło, stół, wieszadła, nawet piec, ale to są już zachcianki, raczej teoretyczne. Opowiadano mi o takiej budce, w której mogło się wygodnie pomieścić 5 ludzi, z których 4-ch grało w bridgea, a piąty jako wychodzący stał ze strzelbą przy okienku, ale to już raczej nadaje się jako temat do bajek Mühlhausena.

Normalnie wystarczy wygodne krzesło, na którym siedząc, można bez przerwy mieć puhacza na oku. Wielkość okienka wystarczy, jak ma 30 cm, w kwadrat; drzwi do budki naprzeciw okna, prócz tego w bocznych ścianach dwa małe otwory zamykane z zewnątrz, służące ewentualnie do obserwowania zbliżających się ptaków. Do budki nadziemnej, najlepiej nadaje się namiot, odpowiednio zamaskowany gałęziami, wreszcie też buda z chrustu lub na polu ze słomy. Ja używam w jednym rewirze jako budki okopu z dawnych szańców wojennych, który trochę pogłębiłem i odpowiednio przebudowałem. W ostatecznym razie, wystarcza ukryć się w gęstych krzakach, tak aby być zakrytym od góry przez koronę drzew, a sprzodu zostawić małą lukę na wystrzał.

Jak wyżej powiedziałem, ustawia się puhacza na dwumetrowym palu w kształcie litery *T* na t. zw. berle, w odległości 25—30 kroków od myśliwego. Praktycznie jest połączyć berło z budką zapomocą sznura, by w odpowiednich momentach, zmuszać puhacza do poruszania się, który w ten sposób ściąga do siebie ptaki. W tym celu musi być poprzeczka na berle ruchoma na zawiasach i przymocowana sprężyną; — tego jednak ulepszenia dotychczas nie praktykowałem.

Puhacz jest przywiązany do berła dwumetrowym paskiem skórzanym, za nogę, zapomocą kółka. Aby kółko nie raniło nogi, powinno być obszyte płótnem lub irchą.

Ja używam w tym celu kółka od kluczy, które bardzo łatwo daje się zakładać i zdejmywać z nogi. Pasek powinien być dosyć długi tak, aby umożliwić puhaczom zeskakiwanie na ziemię. Gdy jednak puhacz bezcelowo li tylko z nudów zbyt często zeskakuje na ziemię, to za

lekkiem szarpnięciem za linewkę zmuszam go do wskoczenia na berło, zachęcając go głosem „puziu hop! hop!“ do czego się ten już całkiem przyzwyczaił. Kiedy już bardzo nieposłuszny, to go uwiązuję krótko, tak, że po pierwszej próbie odechciewa mu się zeskakiwania. Udając się na polowanie, wkładam puhacza do specjalnego koszyka (tak jak w miastach do noszenia pieczywa, tylko z nakrywą), który można wziąść na plecy; ten sam koszyk może służyć ewentualnie, jako krzesło w krzakach.

Z puhaczem należy się łagodnie obchodzić i zbliżając do niego wołać Puziu! Puziu! tak, aby on człowieka poznawał i do niego się przyzwyczaił. Puhacz nabrawszy zaufania, daje się nawet pieścić, specjalnie lubi jak się go drapi za ucho i po karku. Należy się tylko wystrzegać jego szponów, gdyż te przy złośliwych puhaczach lub przy nieumiejętnem obchodzeniu się z nimi, mogą się stać niebezpieczne. Znam taki wypadek, że myśliwy trzymając puhacza za skrzydła względnie w pół, nie zwracał uwagi na jego nogi. tak, że ten chwycił go szponami za udo — przebił grube spodnie, wsadził szpony w ciało i zacisnął je; niemożliwem było je wyciągnąć z powodu bólu, tak, że obecny gajowy musiał wpierw zabić puhacza, odciąć mu nogi i dopiero wtedy udało się szpony pojedyńczo z rany wyciągnąć.

Puhacza trzymam w obszernej klatce odrutowanej. Jest na tyle wysoka, że mogę do niej wejść, założyć kółko na nogę i wsadzić do koszyka, gdy wybieram się na polowanie. Jako pożywienie służy mięso surowe (broń Boże gotowane), a więc ptaki, które się przy nim zabije, a w braku tychże mięso kupne.

Zjada on ptaki razem z pierzem, ktore jest mu do trawienia bezwzględnie potrzebne, tak, że przy dawaniu mu kupnego mięsa trzebą je wpierw dobrze wymieszać i wytarzać w pierzu, bo inaczej je z mniejszym apetytem. Pożywienie nie powinno się codziennie dawać; mniej więcej 1 ptak wystarcza na 2 dni; zależy od jego wielkości W klatce nie powinno też brakować wody, chociaż jak czytałem, może puhacz przez dłuższy czas bez wody wytrzymać. W lecie w czasie upałów lubi on się w wodzie kąpać.

Z puhaczem można polować cały rok. Najlepsze rezultaty osiąga się w czasie przelotów wiosennych i w jesieni. Czas najodpowiedniejszy przedpołudniem przy południowo-zachodnim więtrze i słonecznym dniu. Są dnie, że ptaki zupełnie nie reagują na puhacza i nie chcą bić, a przeciwnie, czasami nie można nadążyć strzelaniu; jest to zagadką dotychczas nigdzie nie wytłumaczoną.

W tegorocznym sezonie jesiennym, trudno było o dni pogodne, mimo tego od 1. sierpnia do 1. października a więc w ciągu dwóch miesięcy padło przy moim puhaczu ogółem 36 ptaków drapieżnych i 1 kot; w tem 2 błotniaki (Circus cyeneus), 5 gołębiarzy (Astur polumbarius), 1 krogulec (Accipiter nisus), 1 kruk (Corvus corex), 1 sokół wędrowny (Falco peregrinus), 1 orzeł wołochaty (Aquila penata), 8 małych sokolików typu Falco tinunculus i 17 myszołowów zwyczajnych (Buteo vulgaris). Ostatnich dwu gatunków jako nader pożytecznych, obecnie nie strzelam, chyba w wyjątkowych wypadkach, gdy potrzebuję pożywienia dla puhacza.

Każdy z tych gatunków ptaków zachowuje się inaczej przed puhaczem, który też rozmaicie na nie reaguje.

Najłatwiejszym ze wszystkich do upolowania jest myszołów zwyczajny. Zachowanie się jego jest rozmaite i zależy od dnia i humoru. Normalnie bardzo chętnie atakuje, czasem kilka sztuk razem; już to rzuca się z szybkością strzały na puhacza, już też krąży do okoła niego, piszcząc płacząco i wreszcie zawisa z rozpostartymi skrzydłami nieruchomo nad nim. Jest to najłatwiejszy moment do zastrzelenia go. Chybiony bardzo często powraca; wogóle przed nim nie należy zbytnio zachować środków ostrożności.

Przeciwnie rzecz się ma z gołębiarzami, sokołami i wogóle szlachetniejszemi gatunkami; tu każde przedwczesne poruszenie się myśliwego, może go spłoszyć. Gołębiarz atakuje z szalonym impetem i spuszcza się wprost na puhacza, tak, że nawet strzał jest ze względu na puhacza ryzykowny. Często po pierwszym ataku lubi siadać na sąsiednie drzewo, skąd obserwuje puhacza i znów ze zdwojoną energją go atakuje, wydając charakterystyczny głos: gak! gik! jak! trzeba tu uchwycić odpowiedni moment i prawie, że tylko ze składu strzelać. Podobnie jak gołębiarz zachowuje się sokół, tylko, że nie siada na drzewach. Strzały do sokołów, gołębiarzy i krogulców, należą do jednych z najtrudniejszych. Chybione nie wrócą już tak prędko, w każdym razie nie tego samego dnia.

Sokoliki, a więc pustułki, pustułeczki, atakują z piskiem, też bardzo chętnie i nie łatwo dają za wygrane; trzepią one charakterystycznie skrzydełkami tak jak skowronek zawisłszy w powietrzu nad puhaczem, by potem błyskawicznie spuścić się nad niego. Jako bardzo pożyteczne ptaki żywiące się przeważnie myszami i konikami polnemi nie należy ich bezwarunkowo strzelać, a ponieważ niepotrzebnie drażnią i niepokoją puhacza trzeba je spłoszyć. Czasami jednak przez to, że robią dużo hałasu ściągają do puhacza inne drapieżne ptaki i wtedy same zaraz ustępują miejsca. Błotniaki okrążają szybko puhacza i wtedy należy je strzelać, gdyż natychmiast znikają bezpowrotnie.

Zabity przez mego brata orzeł włochaty (Aquila penata) należący do typu mniejszych orłów, krążył nad puhaczem nieruszając zupełnie skrzydłami i zniżywszy się odpowiednio, został z wysokości jakich 60 m. zastrzelony.

Miałem raz spotkanie z większym orłem, ale okrążył tylko ostrożnie dwukrotnie przestraszonego puzia, który aż zeskoczył na ziemię, ale na strzał nie przyszedł.

Kruki są też ostrożne i trzymają się nawet dosyć długo ale w poważnych wysokościach. Mniejsze ptaki jak wrony, sroki etc. robią wiele hałasu i niepokoją niepotrzebnie puhacza, który jednak mimo tego sobie z tego wiele nie robi. Oryginalny epizod zdarzył mi się pewnego popołudnia. Po pierwszych kilku minutach, skoro tylko skryłem się do budki, widzę, że puhacz strasznie się napuszył i klapie dziubem raz po razu; nie patrzy jednak do góry, lecz na dół. Zrazu nie wiedziałem co to jest, dopiero po pewnej chwili spostrzegłem kota, który tak niepotrzebnie zdenerwował mego puzia — trafny strzał uspokoił obie strony, a właściwie wszystkie trzy strony.

Zabite ptaki, należy bezwarunkowo natychmiast zanieść do budki, bo leżąc na polu odstraszają inne ptaki.

Tych kilka skreślonych słów myślę, że zachęci niejednego nemroda do tak pożytecznego i miłego spędzenia czasu, jaki jest polowanie z puhaczem. W braku żywego puhacza, można użyć też specjalnie wypchanego rucho-

mego, chociaż myślę, że tego rodzaju polowanie traci już dużo uroku.

Polując z puhaczem, staje się człowiek z konieczności ornitologiem, bo obserwując z bliska najostożniejsze ptaki, uczy się je rozpoznawać i odróżniać.



DR. J. KALM-PODOSKI.

O psach rasowych i rasach psów.

(Ciąg dalszy).

2. Niemiecki legawiec.

„Deutsch-Kurzhaar“ albo „Deutscher kurzhaariger Vorstehund“, pochodzi od niemieckich gończych, prawdopodobnie z małą domieszką tropowców, które już w XIII. wieku do polowania na drobną zwierzynę z sokołem i siatką tresowano.

Dla odróżnienia ich od reszty psiarni, albo też dla uchronienia od pokaleczenia, ucinano już wtedy legawcowi trzecią część ogona, który to zwyczaj po dzień dzisiejszy się utrzymał. Do dalszej hodowli używano najczęściej psów już jako legawców wypróbowanych.

Pomimo, że praojcami były gończe różnorodnych typów i że w ciągu wieków nieraz próbowano poprawiać rasę domieszkami tropowców i gończych, przecież wytworzył się typ jednolity, podobny raczej do pointera, niż do gończego albo tropowca. Byłoby to poniekąd dowodem, że cel hodowli wpływa na zewnętrzne ukształtowanie rasy.

W zeszłem stuleciu zaczęto, pod wpływem anglomanji, poprawiać rasę pointerami. Rezultat był najczęściej fatalny: „ni pies, ni wydra, coś na kształt świdra“, jak powiada poeta. Niektórzy specjaliści twierdzą, że węch rasy, domieszką pointerów został ogólnie poprawiony. Pytanie, czy węch Kurzhaarów rzeczywiście przedtem był dużo gorszy niż dziś. Kluby specjalne, które w drugiej połowie XIX w. powstały, poczęły stanowczo przeciwdziałać wszelkim krzyżowaniom, slawiając selekcję jako jedyny racjonany sposób ulepszenia rasy. Księgi rodowodowe, wystawy i konkursy („Gebrauchsprüfung“) umożliwiają zaś selekcyjną hodowlę.

Wygląd podobny do pointera, ale masywniejszy, z grubszemi kośćmi. Głowa nieco dłuższa, niż u pointera, linja nosa nieznacznie wypukła, przez co nos prawie garbato wygląda. Oko nieco głębiej osadzone, bardzo rozumne i z łagodnym wyrazem, powinno być ciemno-bronzowe. Ucho długie, szerokie, płasko przylegające i wysoko osadzone. Szyja, korpus i nogi jak u pointera opisane, tylko odpowiednio masywniejsze. Wzrost koło 66 cm, długość 70 cm. Włos znacznie grubszy i gęstszy i nieco dłuższy, niż u pointera. Maść bronzowa powinna być jednolita, mniej lub więcej ciemna, z odcieniem orzechowym albo czekoladowym. Domieszki innych odcieni, albo żółte, są bardzo nielubiane. Dopuszczalna jest strzałka biała na czole i piersiach i lekka siwizna na grzbiecie („silverhair“). Najbardziej lubianą i poszukiwaną maścią jest „brauntiger“. Na tle stalowo-siwym, gęsto hreczką posypanym, kilka dużych bronzowych plam. Głowa i uszy bronzowe. Pysk siwo-bronzowy. Końce łap powinne być bronzowe i pazury czarne. Szczeniaki rodzą się często białe, na czarnej skórze z bronzowemi plamami, w pierwszych tygodniach występują pierwsze sine centki, które z wiekiem gęstnieją i powoli w bronzowy kolor przechodzą.

Ogon powinno się kurtyzować, bo jest długi i ciężki i łatwo się kaleczy. Ucina się jednak tylko trzecią część, a dwie trzecie powinno zostać.

Kurzhaar jest psem uniwersalnym, „Gebrauchshund“, jak go Niemcy nazywają. Jest znakomitym legawcem w ścisłem tego słowa znaczeniu na lądzie i na wodzie, aporterem, farbowcem, gończym w razie potrzeby, najwierniejszym i nierozłącznym towarzyszem swego pana, przyjacielem rodziny i czujnym stróżem domu.

Zdaje się, że niemieckiego legawca, o ile jest z dobrego domu, można śmiało nazwać najlepszym psem myśliwskim w ogólności, że chociaż pointer jakoby czasem miewa lepszy nos, a ten lub ów w jakimś specjalnym kierunku, może wyższą inteligencję okazać, to pod względem, że się tak wyrażę, moralnej wartości, niema on sobie równego. Ale powtarzam, o ile jest z dobrego domu. Bo przy tak ogromnem rozpowszechnieniu tej rasy, jest rzeczą nieuniknioną, że się nieraz spotyka i takie psy, które jej chluby nie przynoszą. Oprócz handlarzy zawodowych, największych wrogów i szkodników kynologji, jest dużo pseudo-hodowców, którzy już to wskutek braku fachowych znajomości, już to wskutek braku sumienia i wyłącznie dla „geszeftu“ lichy materjał hodują. Myśliwy mający dobre psy i umiejący je ocenić, nie posyła ich na jarmark, a dochowek oddaje zwykle tylko w znane i pewne ręce. Dostać zatem dobrego Kurzhaara nie jest rzeczą tak łatwą, jakby się zdawało. Trzeba na to być au courant całego ruchu, czytać pilnie czasopisma kynologiczne, jak „Wild und Hund“ i inne, studjować rezultaty konkursów „Derby i Gebrauchsprüfung“, studjować Stammbuchy i o ile możności być członkiem jakiegoś „Kurzhaarklub“. Wtedy nietrudno jest upatrzyć sobie odpowiedniego hodowcę i zamówić sobie u niego szczenięta.

Długo utrzymywał się zabobon, że Kurzhaar bardzo powoli się rozwija, że nie należy go przed ukończonym pierwszym rokiem tresować i że w trzecim polu dopiero jest dojrzałym Stąd przysłowie: trzy lata masz młodego psa, trzy lata dobrego, trzy lata starego.

Dzięki Hegendorfowi, który cały nonsens tego zabobonu wykazał, dzisiejsze Kurzhaary odpowiednio od urodzenia karmione i wychowane, już w pierwszym roku mogą stawać do „Derby“, a w drugim do „Gebrauchsprüfung“, a znam wypadki, że 10 miesięczny pies na „Gebrauchsprüfung“ pierwszą nagrodę dostał. Że pomimo to z wiekiem pies ciągle mądrzeje i coraz lepszym się robi, to jest całkiem naturalne. „Derby“ albo Zuchtsuche“ jest to egzamin wyłącznie nosa i temperamentu, odbywa się zwykle na wiosnę dla psów od 9-tego miesiąca począwszy i odpowiada angielskiemu „Field-trial“.

„Gebrauchsprüfung“ jest egzaminem całkowitej tresury, obejmuje zatem: szukanie, stawanie, sekundowanie, aportowanie na lądzie i na wodzie, walkę z drapieżnikami, t. j. lisem i kotem, pracę na tropie i farbie etc.

Konkursy te odbywają się pod kontrolą „Deutscher“ względnie „Oesterr. Suchenverband“, a rezultaty rejestrowane w „Stammbuch-Kurzhaar“, względnie „Stichelhaar“

etc. Konkursy te otwarte są dla wszystkich uznanych ras psów legawych.

Ktoby się interesował tą rasą, temu radzę przestudjować książkę Hegendorfa „der Gebrauchshund“, najlepsze dzieło o psach myśliwskich, jakie znam (IV wydanie, u Parey'a w Berlinie.

O francuskich, włoskich i hiszpańskich legawcach nie będę się rozpisywał, bo te rasy powoli wymierają i przed konkurencją przeważnie angielską z pola ustępują.

(C. d. n.)

WŁADYSŁAW JANKOWSKI.

Heco, heco, hedżgoha!

Pamiętniki charciarza.

Słowo wstępne. — Inwokacja. — O polowaniach z chartami. — Jakie mają być charty. — Jakie konie do polowania z chartami najlepsze. — Mój mistrz. — Ostatnim tchem zwycięzca. — Lisia kąpiel. — Lis bez psów sforsowany. — Niezwykłe skoki. — Nieudana próba sforsowania lisa. — Życzliwe rady Michała furmana. — Wodzirej weredyk. — Jeszcze jeden sforsowany zając. — Niezręczny dojeżdżacz. — Coś niecoś o moich chartach. — Duglaś i Szejtan. — Piękna gałganka. — Kłapacze. — Pomoc dajcie mi rodacy. — Ciekawe polowanie. — Co się prócz lisów i zajęcy szczuć przydarzyło. — Polowanie zimowe. — Lepszy rydz, jak nic. — Spadam wraz z chartami mykicie na łeb. — Daremna praca, daremny trud. — Cierpliwość wynagrodzona. — Walka o rekord. — Kompromitacja Lasoty. — Mykita redivivus. — Głupie charty. — Przerwane zaloty. — Zagadkowy taniec lisa.

(Ciąg dalszy)

21. Polowania zimowe.

Rozchlapała się aura, trzy dni i trzy noce siecze nasz podolski kapuśniaczek, błota po drogach okrutne. Teren głęboko rozwinięty, nie pozwala na konne wycieczki. Polowania jesienne z chartami ustają.

Konie myśliwskie rozkute, charty drzemią w stadarni, zaszyte w słomę. Myśliwy nudząc się chodzi z kąta w kąt i sumuje, czy warto mu zachlapać po uszy cztery konie i wózek i ryzykować gruntowne przemoknięcie, aby do sąsiada na bridża pojechać, czy też lepiej w domu siedzieć. I zwykle wybiera to drugie, bo pogoda aż żal psa na dwór wypędzić. Nudzi się biedny myśliwy i zrzędzi a coraz to do okna od zachodu poziera i barometr opukuje, czy też się ten psi czas nie odmienia.

Lecz cóż to, barometr po raz setny stuknięty, drgnął w górę. Myśliwy leci do okna. Chmury od zachodu się

CH. ROBERTS. Feljeton.

Towarzysze boju.

(Tłumaczył z angielskiego Adam Tomaszewski).

Nastała zima straszna, najsroższa, jaką stary niedźwiedź przeżywał. Rozpoczęła się wcześnie ciężkimi mrozami, od których kości w ciele lodowaciały, pękały z trzaskiem konary drzew, rozsadzane marznącymi sokami, a wilgotna ziemia zakuła się w stalowy pancerz. A potem rozszalały bezustanne burze, nie łagodząc w niczem srogości mrozu. Twardy śnieg, suchy, jak biały piasek sypał ślepiącą nawałą, a opadłszy, nie twardniał w skorupę, lecz kładł się w lotne zaspy tak głębokie, że nawet długonogie łosie mimo swych do chodzenia po śniegu przystosowanych racic, zapadały się po brzuchy. Teraz już nawet stary bór sosnowy nie dawał żadnej ochrony przed rozwścieklonym orkanem, którego lodowate dmuchy wdzierały się zwycięsko i w najgęstsze ostępy, zabijając mrozem wygłodniałe żbiki w ich legowiskach.

W szczęsnej swej beztroskiej młodości nauczył się olbrzymi czarny niedźwiedź od matki, jak się należy przygotować do przepędzenia zimy. Wypasiony borówkami i jesiennemi owocami, miodem i soczystymi korzonkami, porastał w pulchne, grube poduszki sadła i stawał się tak ociężały, że senność go już brała, jak tylko zima się zbliżała. I gdzieś w głębokiej jaskini, wśród złomków skalnych i suchych gałęzi układał się do zimowego snu, przeczekując, aż miną zimowe śnieżyce i znów nowa wiosna nastanie. W sędziwszym wieku stawał się jednak coraz bardziej kapryśnym, zrzędnym i ponurym i coraz więcej i więcej z każdym rokiem odczuwał potrzebę uzupełniania swej jarskiej kuchni krwawą karmą. Odtąd zimowanie przestało być beztroskiemi świętami. Żona i młodsze pokolenia jego rodu przedrzemywały w słodkiem uśpieniu wraże miesiące zimowych burz, jego zaś głód ciągły zmuszał do bezustannych wędrówek; węszył i śledził, podkradał się i gonił, a mimo tych wszystkich wysiłków całej przemyślnej chytrości nie zdołał złowić nigdy w zimowej porze tyle królików, by pokryć zapadłe z wychudzenia boki, choć cienką warstwicą mięsa i sadła.

W połowie lutego, kiedy wszystkie polujące drapieżce w całej okolicy — niedźwiedzie i lisy, łasice, rysie i sobole głód srogi cierpiały, pojawili się na ich łowieckich terenach nowi, groźni, a żarłoczni kłusownicy. Z północy nadciągnęły stadami wielkie, szare wilki, nieznane w tym zakątku świata od półwieka, chyba tylko z zamierzchłych opowiadań.

Od dzieciństwa nie znał nasz stary, czarny miś, co strach i trwoga. Teraz jednak zakolebało się w nim serce, gdy poraz pierwszy posłyszał wilcze wycie, gdzieś zdala przez śnieżne pustkowia wiatrem niesione ich straszliwe poszczekiwanie. Sierć zjeżała mu się na karku, gdy przypadkiem droga jego skrzyżowała się z tropem stada wilczego. Dręczyły go jednocześnie i strach i nienawiść. Że potrafiłby sprawić lekko pół tuzina tych bezwstydnych intruzów, tego był świadom, i wnioskował, że przecież wilki nie będą się z nim zadzierały. A mimo to ostrożny miś uważał za mądre i wskazane unikać ich śladów.

Nowoobrany przytułek zimowy niedźwiedzia, znajdował się w głębi jodłowego lasu, gdzie gęste zarośle użyczały mu ochrony w śnie i osłaniały nieco przed głównym impetem wichrów. Jednego dnia wyruszył przecież stamtąd, by wyżej wśród wzgórz, gdzie rosły nietrzebione dziewicze lasy, wyszukać sobie lepsze, pewniejsze schronisko. Krocząc przez otwarte, niezarośnięte golizny, dojrzał w dali czarny, skalny cypel, którego urwisty stok był z jednej strony cały zawalony głazami. Tam to truchtem posunął, spodziewając się snadnie znaleźć jakąś cieplejszą pieczarę. Gdy znajdzie jakąś już zamieszkałą, tem lepiej, bo będzie odrazu miał nietylko chałupę, ale i mały zapas żywności.

wystrzępiają, niebo wyjaśnia, a zachodząc słońce rozkrwawiło horyzont, purpurową zorzą. Będzie wiatr na jutro, może się pogoda odmieni.

I rozegnał dobroczyńca wicher dżdżem ciężarne chmurzyska, i mróz ścisnął ziemię przemokłą, że wszystka na kamień, głęboko zamarzła.

Znów ciężkie, ołowiane chmury zasnuły niebiosa. Lecz już ich widok nie zasępia czoła myśliwego, bo on wie, że tym razem chmury zapowiadają ponowę, śniegu całun biały, wie, że mu Diana rozkosze upragnione gotuje.

Spadł śnieg obfity, zakrył kamienną grudę, pobielił dachy i wyrównał ze szczętem zdradne wąwozy i debry.

Hej Lassota, saneczki myśliwskie przygotuj, załóż do nich parę co tęższych broniaków, Dolota i Birkę włóż pod baranicę!

Uśmiechnął się stary wyga, oznajmia, że wszystko gotowe. Jakoż nie minął kwadrans i już suną w step bose saneczki. Biało i pusto na stepie. Śnieg zasypawszy drogi i wyrównując wąwozy, tak zmienił całokształt okolicy, że nieświadomy zorjentować by się w niej nie potrafił. Dla nas to fraszka. Jazda Auguście, jazda z pagórka na pagórek! Wętęż twe sokole oczy, może gdzie dojrzysz lisa.

Z lisem to dziś rozprawa, jego futerko zdobyć dziś nam trzeba.

Strzeż się mykito, rycerzu błędny, pogromo płochych szaraków! Co myśliwemu kopyra, zdobycz marna, na kołek do spiżarni, plebcae gentis płochliwa pokraka.

Na ciebie kolej, ty najchytrzejszy z chytrych, zbóju bezecny, raublitterze cudzą krrzywdą żyjący, szlakiem wśród zwierząt, Żółtod..ski herbu Kita.

Burzył się na siedzeniu Lassota i coś zamruczał pod nosem. Co tam, pytam. „Coś siedzi na śniegu, ale jeszcze daleko, trochę nie podoba na niego, bo za szpiczasty, może być jastrząb albo gawron“. Przebajeczne oczy miał mój stary. Tam gdzie on kontury dostrzegał, ja nie widziałem nic, a gdzie on stanowczo lisa rozpoznawał, ja dopiero plamkę. wcale nieokreśloną. O lisie zawsze mówił „un“, „jego“ dostrzegał, „jemu“ życzył w soczystych zwrotach, wszelkich najgorszych rodzajów śmierci. „Jaśnie Panie, dalibóg un, trzeba jego objechać od jam, bo nam przepadnie“!

Jedziemy tedy, okrążamy mykitę, hajta wiśta pokrzykując, aby się chytrzec przed czasem nie spłoszył.

W staje lis. Po śniegu myszkuje. Dobra nasza, nie boi się nas, nie przeczuwa niebezpieczeństwa.

„Proszę Jaśnie Pana psy odwiązać, smycz do ręki... można puszczać! . Rozkrywam baranicę i chartom pokazuję lisa. Głupie psiska, rozglądają się, kręcą się, nie widzą. Wreszcie Biruzka wzięła go na oko, szarpnęła się na smyczy. Puszczam wolny koniec smyczy. Hedż goha! Już mną charty moje po białej równinie. Lis chartów nie widzi, one coraz bliżej, wreszcie je dostrzegł, w nogi. Za późno bracie, za późno. Już zakotłowało się na śniegu, wrzasła Biruzka w samą trąbę cięta, potężne piersi Dolota przeważają lisa, już charty zawzięcie targają swoją ofiarę. Nadjeżdżamy ratować cenną skórkę pokonanego szlachcica.

„No z tym to łatwa była robota“ mruczy zadowolony Lassota i chowa lisa nieboszczyka pod siedzenie.

Słusznie mówisz Auguście, że łatwa z nim była robota. Nie bardzo uciekał, odrazu dał się objechać, nie bardzo chartom się stawiał. Ale jak rzadko w sezonie bywa pole dobre, jak często dzień i dwa się przejeździ, nie zdybując lisa, ileż to razy mykita przechytrzy człowieka i wymiga się chartom.

22. Lepszy rydz, jak nic.

Pole doskonałe, mróz nie bardzo dokucza, a co lepsze nie ma wiatru, tego tak boleśnie znanego charciarzom zefirku, co jak brzytwą tnie po twarzy i uszach.

Poprzez szarobiałe pustowia, przygniecione niską kopułą chmurnego nieba, przedzierał się z trudem mozolnie ku upatrzonemu celowi. Równina sprawiała w tym dzikiem, białem zamarciu, wrażenie nagiej, granitowej płyty. Zawieszony na szerokich skrzydłach biały jastrząb, kołysał się w przestworzu, za śladem jakiegoś, na łup upatrzonego zwierzęcia, które samo, stękając z głodu, polowało na równie wycieńczoną mysz.

Jak szeroko i daleko wzrok sięgał, w całej rozległej krainie panował głód i rozpacz.

Parokrotnie już, wśród tej wędrówki przez pustynię, zasłyszał niedźwiedź, hen z dali, wycie wilków. Zgnębiony biedą własną, nie zważał na to, lecz jeno z pewną zawiścią myślał o łupie krwawym, który ci myśliwi może właśnie upolują. Może renifera, może olbrzymiego łosia, z którego, po ciężkiej gonitwie zaszczutego, wyprawią sobie sutą ucztę.

Nareszcie i jego głodne oczy dostrzegły świeże królicze ślady. Naraz odżyła w nim cała energja. Spłaszczył się cały i prawie niewidoczny, pomknął po głębokim śniegu za tropem, kryjąc się i maskując swe olbrzymie cielsko, ze zdomiewającą zręcznością. Ale właśnie teraz, gdy jego żarłoczne żądze z całą gwałtownością się rozbudziły, uderzył go w chórze wilków jakiś dziwny, niesamowity ton. Nie brzmiało to już jak łowieckie poszczekiwanie na drobną, gonioną zwierzynę, lecz dźwięczało w tym złowieszczym szczekocie coś, jak nienawiść, jakby wyzywanie wroga do walki na śmierć i życie, a jednocześnie i groźna, obelżywa pogarda dlań! A chóralny ten zew począł się nagle zbliżać i zbliżać!

Niedźwiedź stanął jak wryty, łypnął poza siebie oczyma, z groźnym pomrukiem i nagle serce, co dopiero jeszcze drżące wezbraną wściekłością, na chwilę bić przestało. Bo tym razem on sam był tym przez wilki tropionym zwierzem!

Zawsze gotów do boju aż do ostatniej kropli krwi postanowił stawić im czoło, nie próbując nawet wymknąć się obławie. Przeszukał tylko zarośla, w których tkwił gdzieś ukryty jego królik, myśląc, że dobrze byłoby głód zaspokoić, zanim wilcza sfora nań się zwali. Ale oto już wysypały się wściekłym pędem z głębiej położonego lasu, gnając ciągle bez chwili wahania ni zastanowienia, jego świeżym śladem. Była ich potężna horda. Chciały go pierwszym impetem z miejsca okrążyć, a przy jednoczesnem natarciu z wszystkich stron nie byłoby nawet mowy o obronie. Porwał się tedy z miejsca i dysząc jak miech, pognał ciężkim, wyciągniętym galopem ku sterczącej opodal skale. Gdyby tylko udało mu się do niej dobiec... Lecz nasz niedźwiedź, przy całej swej na pozór ociężałej i niezgrabnej budowie, wiedział, co to gonitwa. Jego atletyczne muskuły bez wysiłku pozwalały mu, pokonywać zaspy zapadzistego śniegu, przez który jego prześladowcy ledwo z trudem się przedzierali. Kościsty i żylasty, przy pomocy potężnych płuc i żelaznej woli, miał wszelkie dane, że do zbawczej skały dobiegnie. Stado gnało teraz za nim w ponurem milczeniu, które było raczej jeszcze bardziej złowieszcze, niż chóralne wycie i zbliżało się doń powoli coraz bardziej. Lecz dzieląca ich uprzednio przestrzeń przecież wystarczyła. Jeszcze tylko parę susów dzieliło wilka-przodownika od potwornej zdobyczy, kiedy niedźwiedź nareszcie dopadł do skały. Próbować wdrapać się na nią było sprawą beznadziejną nawet dla tak zręcznego akrobaty, jak niedźwiedź, gdyż skała opadała tu prostopadłą ścianą. Ale mimo to, znalazł tu to, czego przedewszystkiem szukał: osłonę przed napadem z tyłu. Oparłszy się potężnym grzbietem o granitową ścianę, wspiął się na tylnych nogach i wzniesionymi, groźnie zbrojnymi w straszne pazury, przednimi łapami, z otwartą paszczą, błyskającą wyszczerzonymi kłami, patrzał z wściekłością bojową zielono łyskającemi ślepiami na swych prześladowców. Wilki zatrzymały się o parę kroków od niego i złożyły wojenną naradę. Na taką zwierzynę

W terenie koło folwarku Mogiła, dostrzegamy dwa lisy obok siebie siedzące. Sytuacja niewesoła. Jeden siedzi nad samą jamą, drugi niedaleko od pierwszego. Składamy wojenną naradę.

Postanawiamy wyjątkowo jechać marsz marsz, wprost na siedzącego nad jamą lisiurę. Ten i tak przepadł, a może uda się w ten sposób drugiego, do zbawczej nie dopuścić kryjówki.

Więc jazda co koń wyskoczy. Pierwszy lis daje nura do jamy, drugi rzeczywiście fortelem zwiedziony, w pole całym pędem się zabiera. Już mam baranicę odkrywać, gdy wtem kopanica zawadza o niewidoczną, bo zasypaną śniegiem wysoką miedzę, w jednej chwili wszystko się przewraca i leżymy na śniegu pospołu splątani, ja, Lassota i charty. Konie z saniami uciekły.

Nakrywam co prędzej charty baranicą aby ich lis nie dojrzał i posyłam Lassotę łapać konie. Sam leżę na śniegu i obserwuję, co się dzieje z lisem.

Szelma mykita, odbiegł jakie 1000 kroków, siadł na pagórku i także obserwuje. Po jakiej godzinie może, wraca Lassota z końmi. Lis siedzi.

Ładujemy możliwie skrycie psy na sanie i zaczynamy objazd. Nie wiem czy mykita nas lekceważył, sądząc, że my chartów ze sobą nie mamy, czy też myślał, że my znowu kozły po śniegu machać będziemy, więc chciał tym pociesznym widokiem duszę sobie uradować lisią, dość, że dał się podjechać na kroków kilkadziesiąt i charty wzięły go niemal w miejscu. C. d. n.

Ciąg słomek.

Niechb cię trud nie odstrasza, jedź na polowanie,
Bo cbóć droga fatalna, trud ci się opłaci.
W lesie ujrzysz niecbybnie, już na lasu ścianie,
Że w borze zmrok zapada, bo słońce zacbodzi.

Wszyscy lasu mieszkańcy do snu utuleni,
Cisza zawładła lasem, to snu panowanie,
Ostatni promyk słońca boryzont rumieni.
Wtem słyszysz cudną piosnkę — to słomki cbrapanie.

Serce mocno zadrgało w myśliwego łonie,
Wpatrzony jakby w tęczę w to cudne zjawisko
Zapomniał o swycb dzieciacb, zapomniał o żonie
I żyje tylko troską, czy nadciągnie blisko.

I widzi ją ciągnącą, promienną, szczęśliwą,
Bo do ślubu z swym lubym ona zdąża przecie,
Z tęsknoty głos straciła, nuci pieśń cbrapliwą,
Lecz pieśń dla myśliwego najcudniejszą przecie.

A myśliwy bez serca śmierć dla niej łagodzi
I właśnie on to wtenczas, gdy jej szczęście świta,
Zabójczem ziarnem śrutu na jej życie godzi.
Padł strzał, niestety trafny i słomka zabita.

Myśliwi, miejcie serce i powiedzcie sobie,
Wszak Pismo święte mówi, a słucbać je trzeba
„Co dla mnie jest niemiłe, drugiemu nie zrobię“ —
Takie jest przykazanie, taki rozknz z nieba.

Czyż byłoby ci miło — gdybyś wśród pieszczoty
Otrzymał kulę w serce — gdy ci miłość śpiewa?
Nie cbcesz tego — więc nie rób biednej słomce psoty,
Bo święty Hubert za to, już dawno się gniewa.

Strzemię.

bowiem jeszcze nigdy nie polowały. Zbite w gęste półkole, oblegały go z wywieszonymi ozorami i płonącemi dziko oczyma. nie mogąc się zdecydować na walny atak. A niedźwiedź czekał, kołysząc tylko potwornym łbem powolnemi ruchami.

II.

Dla trapera Joba Tatcha nie była jednak ta tak straszna dla wszelakiego stworzenia zima, dolegliwą. Chata jego była mocno i solidnie zbudowana, naokoło niej leżały nagromadzone olbrzymie masy paliwa, a jego zapasy żywności wystarczały, by uzupełnić przez długie miesiące zdobycz polowań. To, że zwierzyna stawała się coraz rzadszą, mniej mu doskwierało, jak czworonogim myśliwcom, bo żaden z tych drapieżników nie mógł się z nim porównywać w umiejętności myśliwskiej i łowczej przemyślności. Poza brakiem oczywiście węchu przewyższył we wszystkiem najzręczniejszego drapieżcę, słuch miał ostry jak młody łoś, wzrok nie gorszy od rysia. Lekko, prawie bez wysiłku przebywał na nartach ogromne przestrzenie, jego strzelba zabijała na takie dalekie odległości, że najstraszliwsza zwierzyna dopiero zaledwie przeczuwała wroga, kiedy już jego nigdy nie chybiający strzał padał. Uznając tę jego przewagę, szły chętnie za jego śladem drobniejsze drapieżniki, usiłując, mimo strachu i nienawiści, odnieść dla siebie chyłkiem korzyść z jego przemyślności.

A jednak stało się, że złe siły puszczy, za których władcę i mistrza się uważał, zwróciły się jednego dnia przeciw niemu i powaliły go.

Ukryte zdradziecko w śniegu zwalone drzewo chwyciło za jedną jego nartę, gdy jak na skrzydłach śmigał przez śnieżne stoki lasu. Na łeb zwalił się i stoczył do parowu. Już padając, zdrętwiał z przerażenia. Zanim jeszcze ból poczuł, posłyszał wyraźnie, jak z suchem trzaskiem pękała kość w jego lewej nodze. A znaczyło to: koniec. W panicznym przestrachu, który go w pierwszej chwili zadławił, uważał za najlepsze załatwienie leżeć nieruchomo tam, gdzie padł i czekać, aż zabójcze zimno dzieła swego dokona. Przy temperaturze, od ktorej rtęć zamarzała w termometrze, nie długo będzie trwało, zanim pogrąży się we wieczny sen. Lecz po chwili oprzytomniał, jego silna wola i poczucie, że on jest przecie władcą w tej krainie puszcz, zbudziły go na nowo. Nie, przenigdy nie dopuści, aby biała śmierć, której tak często już zwycięski opór stawiał, zdołała go przecież pokonać, nie dopuści, by stał się żertwą tych drapieżników, na które **on** zawsze polował, które **on** łowił. Harde junactwo i zawziętość rozgorzały w nim na nowo stygnącą krew, że gorącą falą zaczęła znów bujnie krążyć w jego żyłach, postawiły go na przekór losowi na nogi, tak, że cały szarpiący go ból i męka już tylko szyderczy śmiech zdołały w nim wzbudzić.

Począł tedy z całym wysiłkiem stalowej woli wlec się z powrotem ku swej chacie. Po siedmiu godzinach nadludzkich zapasów ze śmiercią, po siedmiu godzinach, wypełnionych niewysłowionemi męczarniami, dotarł nareszcie do drzwi chaty i posługując się nartami jakby kulami, przeczołgał się przez próg i padł bez zmysłów. I byłby tak omdlały ze zmęczenia i bolu zasnął w otwartych drzwiach, potem jeszcze płonący ogień byłby wygasł i biała śmierć chwyciłaby go w swe szpony w jego własnej twierdzy. Lecz raz jeszcze się zmógł i zdołał po chwili zamknąć drzwi, dołożyć paliwa na ognisko, aż płomień na nowo rozgorzał, a potem na nowo zapadł w tępy, głęboki, wielogodzinny sen na gołej ziemi. C. d. n.



Korespondencje.

Niemirów, w styczniu, 1923.

Oj, ta zalotna Sylwanka! Gdy się uśmiechnie, to w siódme nieba porywa, a gdy czasem figle płata — to może w czarną rozpacz pogrążyć. A jak było, opowiem.

Głęboki śnieg zasypał lasy Starzysk w początku grudnia 1922 r. Wysoka, przejrzysta sośnina, wzrok sięga daleko w głąb miotu — ledwo nagonka ruszyła, kilka sarn płowych mignęło, a potem zaraz czarne cienie, jeden, drugi... coś dużo, idą na sąsiada na prawo... dwa suche trzaski karabinowe... i oto czarny szwadron szarżuje wprost na mnie. Na czele spory odyniec, ale tak ciągle swym wąskim łbem jak puklerzem zakryty, że wyczekuję ze strzałem, aż mi się odsłoni. Dopiero na 15 kroków skręca, a chwila, w której mi pokazuje komorę — jest jego ostatnią; ruluje bowiem w strzale i po kilku odruchach zapada w spokój śmiertelny. Orszak, straciwszy wodza, bezładną czeredą przewala się na lewo, strzelam raz drugi bez widocznego skutku, raz trzeci za linją — spora loszka załamuje się z kwikiem. Spuściwszy głowę, nabijam trzylufem, a gdy wzrok po chwili podnoszę, widzę, że stado, a było ich 18, przedarłszy się przez ogień mojegolewego sąsiada, zawróciło i jeszcze raz na znaczną odległość przechodzi przez linję: czwartą posyłam im kulę, którą warchlak kwituje donośnem kwiknięciem, poczem cała gromada znika w okiści. Po miocie szukam najpierw drugiego strzału, ale nim skonstatowałem pudło, już się zeszli sąsiedzi i pytają, co było. Stwierdzam skromnie, że na cztery strzały trzy były trafne, dwie sztuki leżą, trzeciej zaś warto poszukać, bo głośno bardzo zaznaczyła swą krzywdę. Widzę zazdrość w oczach towarzyszy, a to mnie wbija w pychę — trudno, jesteśmy ludźmi. Lecz śmiertelni niech wiedzą, że fortuna krzywem kołem się toczy! Zanim jeszcze zdążyłem oglądnąć moje ofiary. już przy każdej stał rywal. Przy odyńcu mój sąsiad z prawej strony Dr. A. S., który doszedł do niego za farbą od swojego strzału, przy loszce znów sąsiad lewy E. Z, opowiada tak, jak ja, że sztuka ta po jego strzale kwiknęła. a załamawszy się, pociągnęła parę kroków i legła bez ducha. Rozstrzygnięcie odłożone na wieczór, a wynik?... odynlec przyszedł do mnie z kulą śmiertelną jednego sąsiada, był więc jego bezsprzeczną własnością; loszka dostała lepszą kulę od drugiego sąsiada i jemu została przyznana, a warchlak, mimo silnej farby, przeszedł bliską granicę trzeciego sąsiada i niewątpliwie stał się jego zdobyczą. Z tryplety zostały mi więc tylko: w oczach jedno zrulowanie, a w uszach... dwa kwiki! Ponadto, spostrzegam wyraźnie, gdy opowiadam te dziwne zdarzenie, że łaskawi słuchacze o wiele więcej się cieszą, aniżeli gdybym mówił o normalnej tryplecie... a i to doświadczenie coś warte! Nie tryumfuj jednak psotna zalotnico, bo się nie smucę, a ty mi kiedyś wynadgrodzisz te figle!

Wynik dnia stanowiły 3 dziki, 5 rogaczy, jarząbek i cztery zające.

Nazajutrz w jednym z rewirów leśnych Horyńca, również otropiono stado dzików. Wymknęły się w pierwszym i drugim miocie, ale za to w trzecim defilowały wspaniale wśród linji i okupić się musiały pięciu ofiarami, a ponadto szósta już po wyjściu nagonki sama się nadziała na śmiercionośne strzały. Nie będę też opiewał chwały p. Z. Ł., który trzy z nich położył — bo mu to nie nowina, ale wspomnieć muszę o tym dziczku, który miał szczęście zginąć, jako pierwszy z długiego niewątpliwie szeregu, z ręki pani W. Była ona nietylko wraz z mężem przemiłą gospodynią tego ślicznego polowania, ale też i niestrudzoną naszą towarzyszką w lesie. W owym zaś miocie, po zaawizowaniu dzików, z zimną krwią zmieniwszy śrut na kulę, ładnym strzałem położyła tę swoją pierwszą czarną ofiarę. Nie potrzebuję dodawać, że przyjęcie nowej „towarzyszki“ do myśliwskiej drużyny po tym „czynie wyzwolenia“, odbyło się uroczyście, z zachowaniem przepisanego ceremonjału. Po kilku miotach dziczych przeszła dopiero kolej na zające, których padło 23 *Krusenstern.*

* * *

Pryma, w styczniu, 1923.

Sprawozdanie.

Okolica Mikołajowa, o rozległych polach, łąkach naddniestrzańskich, lasach — w czasach przedwojennych obfitowała w różnorodną zwierzynę. Wojna światowa odbiła się tu bardzo dotkliwie na zwierzostanie. Załogujące tu z dala od pola bitew najpierw wojska carskie — a od 1915 r. wojska austro-węgierskie z instruktorami niemiecko-pruskimi, aż do listopada 1918, wystrzelały masę zwierzyny — resztę zaś, co pozostało, a pozostało jeszcze dosyć, wyniszczyła ludność uzbrojona w karabiny i zrabowaną broń myśliwską do szczętu w czasie rządu Ukrainy. Z licznych stad kuropatw ani śladu, zając, jak się to mówi, na pokaz — sarn prawie jakby nie było. Na szczęście, lisy wyginęły na parchy — za to jednak inne czworonogi, jak psy, koty, tudzież ptactwo drapieżne rozmnożone, jest plagą dla zwierzyny.

Kłusownictwo i wnękarstwo rozwielmożniło się do niebywałych granic. Poluje kto chce, kiedy chce i gdzie chce, a najczęściej pod patronatem urzędów gminnych — które bezprawnie, wbrew przepisowi ustawy łowieckiej — powydzierżawiały prawa polowania różnym niepowołanym osobnikom — myśliwym dla mięsa.

Na szczęście zaczyna świtać nadzieja na lepszą przyszłość. Wydzierżawiane przez Wydziały spółek łowieckich prawa polowania różnym niepowołanym — Starostwo w Żydaczowie nie zatwierdza — a obecnie zamknęło polowania na zające, a przedtem na kuropatwy na 2 lata — to też adepci św. Huberta wdzięczni są panu Staroście za tak obywatelskie dla dobra ogółu spowodowane zarządzenie.

Polowań tu tak jakby nie było — i o rozkładach z kilku zajęcy — pisać nie warto.

W niedługim czasie przeszlę sprawozdanie z porozumienia się delegatów powiatu żydaczowskiego, co do rozdziału i podziału powiatu tego na okręgi delegackie.

Cześć św. Hubertowi! *Władysław Wiśniewski.*

* * *

Stanisławow, w styczniu, 1923.

15. i 16. grudnia polowaliśmy w Jabłonowie w 14 strzelb, padło 3 dziki i 300 zajęcy. Knieja ta śliczna tak pod względem drzewostanów jak i zwierzostanu, dała nam dowód, jak szybko, przy dobrych warunkach i troskliwej pieczy, zabliźniają się zadane przez wojnę rany. Gospodarz, choć sam rzadko tylko bierze broń do ręki, dba o swój zwierzostan, wszędzie widoczna koniczyna, w snopki powiązana, gdzieniegdzie kartofle, do których formalnie drogi tropów dziczych zdążają, na widok których mimowoli ręka za sztuciec chwyta. Zajęcy, mimo niepomyślnego roku, zastaliśmy bardzo dużo, na co też i cyfra rozkładu wskazuje i dziki w wielu miotach emocje nam robiły, cóż z tego, kiedy wiedzione zwykłym swym instynktem, wychodziły przeważnie na myśliwych, którzy czuli do nich wielką sympatję, czy też może antypatję? — do rogaczy nie strzelano.

12. i 13. stycznia odbyło się polowanie w Horodnicy nad Zbruczem, w 10 strzelb, rozkład wynosił 170 zajęcy, do rogaczy nie strzelano. *Józef Jabłonowski.*

* * *

Radziechów, w lutym, 1923.

Sezon ubiegły, zapowiadający się nieszczególnie, niedopisał zupełnie. Sroga zima zeszłego roku, zimna wiosna, oraz bardzo mokre i zimne lato, wpłynęły bardzo niekorzystnie na stan zajęcy, o czem miałem sposobność w czasie polowań przekonać się. W dodatku, wskutek nadmiaru wilgoci, motylica zdziesiątkowała we wielu rewirach zające i sarny; lisów za to jest tego roku znacznie więcej. Dziki także niedopisały i polowanie na nie bez psów przeważnie nie udawały się.

Polowań było wogóle bardzo mało i to przeważnie nie udały się, gdyż z powodu braku śniegu i mrozu, zając najwięcej był w polu, a kociołków brać nie można było ze względu na rozmokłą rolę.

Polowaliśmy sześć razy w rewirach hr. Badeniego w 7—8 strzelb, a mianowicie w Witkowie, Woli Hołojowskiej, Józefowie, Niemiłowie i Poratynie, razem padło 63 zajęcy i 3 lisy;

do rogaczy nie strzelaliśmy. O kilku pomniejszych polowaniach nie wspominam, gdyż wypadły bardzo słabo. Jednem z najlepszych polowań w ubiegłym sezonie, było polowanie u hr. Badeniego w Pukaczowie. Odbyło się dnia 23. i 24. stycznia; pogoda częściowo niedopisała, była wprawdzie ponowa, ale już pierwszego dnia silny wiatr z mokrym śniegiem dał się we znaki, w drugi dzień rano mróz z wiatrem, około południa puściło i zaczęła się burza śniegowa, która zepsuła resztę polowania, zwierzyna nie dała się wypędzić i przez to znalazło się znacznie mniej zajęcy na rozkładzie. Polowaliśmy w pierwszy dzień w 11, w drugi w 12 strzelb. Miotów braliśmy dwadzieścia, nagonki około 60; strzałów padło 252; razem padło 89 zajęcy i 7 lisów, do rogaczy nie strzelano. Sarn widziałem sam 45 sztuk, na jednego myśliwego wyszło w jednem rudlu 17 sztuk.

Bardzo sympatycznem zakończeniem sezonu było polowanie w Sielcu u państwa Bartmańskich; goście wprawdzie nie dopisali, ale polowanie udało się. Polowaliśmy w 4 strzelby, dwóch gospodarzy i dwóch gości. Zabiliśmy razem 1 dzika, 2 rogaczy i 10 zajęcy. Zwierzostan słaby, las bardzo podmokły, motylica zniszczyła sarny i zające, pomimo tego prawie w każdym miocie było kilka sarn, a dużo zajęcy poszło nie strzelanych; za to strzelane, z wyjątkiem dwóch, wszystkie zostały podniesione. Kuropatw pokazało się kilka stad w naszym powiecie, jest więc nadzieja, że tę łagodną zimę przetrzymają i za kilka lat będzie można zapolować! *Stanisław Jakkiewicz.*

* * *

Lwów, w lutym, 1923.

Stan dzików w Koropcu, od czasu zakończenia wojny, stale się podnosi. W obecnym sezonie zabiliśmy w ciągu dni ośmiu, polując w dwie, najwięcej 3 strzelby, dzików trzydzieści dwa. Największa ilość zabitych jednego dnia była trzynaście, przez jednego myśliwego w tym dniu siedm.

Ponieważ ze strony niektórych nie znających tej kniei myśliwych dochodziły mnie głosy obawy „czy to nie za dużo“, chętnie korzystam ze sposobności, by uspokoić wszystkich tak słusznie o czarny zwierzostan dbałych, doniesieniem, iż został dokonany odstrzał normalny, w stosunku odsetkowym z pewnością słabszy, aniżeli w wielu innych kniejach. Już przytoczona powyżej ograniczona ilość dni polowania, oraz szczupła ilość strzelb, dostateczną są rękojmią, iż poziomowi zwierzostanu obniżenie nie grozi, a najlepszym tego dowodem, że, gdy rok temu padło sztuk szesnaście, w tym sezonie *ceteris paribus* dziki mogły złożyć haracz podwójny.

Przez 357 dni w roku zaś, cieszą się dziki w głębokiej kniei spokojem, który, oby we wszystkich naszych lasach w równej mierze był ich udziałem. Dzięki temu spokojowi, oraz gąszczom, w które knieja obfituje, stają się wiosenną porą lasy koropieckie tym matecznikiem, który rewiry całej okolicy dziczym narybkiem obdarza. *Stefan Badeni.*

* * *

Beremiany, luty, 1923.

W dniach 15. i 16. grudnia 1922. polowano w 16 strzelb w kniei beremiańskiej. Padło 120 zajęcy, 7 dzików i 8 lisów. *Franciszek Heydel* junior.

* * *

Zamknięcie polowania.

Starostwo w Żydaczowie L. 19912/22.

Żydaczów. dnia 30. grudnia 1922.

Do Zwierzchności gminnej w Mikołajowie, Weryniu, Nadiatyczach, Uściu, Drohowyżu, Demni, Trościancu, Woli wielkiej, Stulsku, Rudnikach — i zarządowi dóbr hr. Skarbka w Drohowyżu.

Ze względu na zagrożone zupełne wytępienie zajęcy na terytorjum gminy katastralnej Mikołajów, Weryń, Nadiatycze, Uście, Drohowyż, Demnia, Trościaniec, Wola Wielka, Stulsko i Rudniki, zarządzam w porozumieniu z Wydziałem Rady powiatowej i delegatów M. T. Ł. po myśli § 87. c. ustawy łowieckiej, zupełne zamknięcie polowania na **zające** tamże, a to tak w okręgu łowieckich spółek wyżej wymienionych gmin, jak również i w samoistnych okręgach łowieckich, należących do fundacji hr. Skarbka, na terytorjum gminy Nadiatycze, Uście i Drohowyże, oraz w samoistnym okręgu polowania gminy Mikołajów, które to zamknięcie ma trwać przez 2 lata.

O powyższem zarządzeniu należy zawiadomić odnośny Wydział Spółki łowieckiej oraz dzierżawcę prawa polowania, o ile ten stan prawnie istnieje, z tem, że niestosowanie się do niniejszego zakazu, będę surowo karał. Starosta

Mahr w. r.

Sprawy Towarzystwa.

SPRAWOZDANIE
z posiedzenia Wydziału w dniu 7. lutego 1922.

Przewodniczy Prezes Juliusz hr. Bielski, obecni: wicepr. Albert Mniszek, członkowie Wydziału Garapich, inż. Kamienobrodzki, Dr. Małaczyński, Münter, Pieńczykowski, Prek, Dr. Sander, Streer, zastępcy inż. Ebenberger i Reichard.

Nieobecność usprawiedliwili: pułk. Marjański i Dr. Kalm-Podoski, który równocześnie z powodu przeniesienia się do Warszawy, zgłosił rezygnację z godności członka Wydziału. Prezes stwierdził owocną pracę Dr. Kalm-Podoskiego, jako członka Wydziału i współpracownika „Łowca“, poczem rezygnację przyjęto.

Prezes przedstawił wyniki dotychczasowej akcji w sprawie uregulowania czynszów za polowania w lasach państwowych i przedłużenia tych dzierżaw, a wyraziwszy przekonanie, że sprawy te ku zadowoleniu obu stron kontraktujących przy dobrej woli i należytem zrozumieniu stosunków załatwić się dadzą, oznajmił, że na dzień 26. b. m. zwołał ponownie zebranie wszystkich dzierżawców polowań w lasach i dobrach rządowych celem porozumienia się co do jednolitego działania i powzięcia ostatecznych decyzji w kwestji propozycji, jakie Okręgowemu Zarządowi lasów i dóbr państw. postawić należy.

Po sprawozdaniu kasowem, ustalono wysokość wkładki członkoskiej na II-gi kwartał na 8.000 Mkp, a zarazem postanowiono, że tym wszystkim członkom, którzyby wkładki za I-szy kwartał w ciągu lutego nie uiścili, marcowy numer „Łowca“ przysłanym będzie za pobraniem pocztowem, niewykonujący zaś tej przesyłki, zostaną z listy członków wykreśleni. Uchwała dalszego podniesienia wkładki jest usprawiedliwioną olbrzymiem podniesieniem się kosztów nakładu „Łowca“ i ciągłym wzrostem kosztów administracyjnych.

Za kwotę 100.000 Mkp, ofiarowaną przez Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego, z przeznaczeniem użycia jej na fundusz ołtarza św. Huberta, dalej, za kwotę na tensam cel przed wojną zebraną, a wreszcie za kwotę, jaka się okaże jeszcze potrzebną i która z funduszów ogólnych Towarzystwa wyasygnowaną zostanie, uchwalono narazie zakupić 2 akcje Spółki akc. eksploatacji soli potasowych, wychodząc ze założenia, że myśl ustawienia ołtarza zbyt rychło zrealizować się nie da, a więc fuudusz na ten cel przeznaczony, należy, o ile możności, uchronić przed konsekwencjami dalszego spadku waluty.

Załatwienie spraw delegackich z powodu nieobecności ich stałego referenta, wicepr. Czarkowskiego-Golejewskiego, odroczono do następnego posiedzenia.

W poczet członków przyjęto:

Dr. Józefa Aleksiewicza, Juliana Becka, Stefana Becka, Stefana Bednarczyka, Stanisława Bilińskiego, Władysława Ceranowicza, Andrzeja Strzemię Chwaliboga, księcia Franciszka Druckiego-Lubeckiego, Karola Etterlego, Kazimierza Głowińskiego, Aleksandra Gniewosza, Jana Gnoińskiego, Jana Okszę Grabowskiego, Leszka Okszę Grabowskiego, Karola Jarosza, Dr. Kazimierza Koźmiana Reichera, Dr. Bolesława Kwaśniewskiego, Mieczysława Krzeczkowskiego, Benedykta Krzywobłockiego, inż. Leszka Małaczyńskiego, Stanisława Mattauszka, Stanisława Minasiewicza, Stanisława Niemczewskiego, Kazimierza Osmólskiego, Marjana Osmólskiego, Stefana Ostrowskiego, Józefa Pałasiewicza, Włodzimierza Patraszewskiego, Dr. Aleksandra Raczyńskiego, Karola Rudkowskiego, Edmunda Rudnickiego, Kazimierza Rulikowskiego, Stefana Romera, Kazimierza Spaczyń-

skiego, Stanisława Stankiewicza, Fryderyka Starka, Władysława Suchodolskiego, Dr. Józefa Surzyckiego, Zygmunta Trembickiego, Tadeusza Tretera i Jana Wolańskiego.

Dalsze zgłoszenia w toku informacji u delegatów.

Następnie na zarządzenie Prezesa, Dr Sander zdał sprawę z wyników odbytej w dniu 6. stycznia b. r. w Warszawie konferencji ku ułożeniu statutu Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń łowieckich w Warszawie. W koferencji tej brali udział jako delegaci M. T. Ł. Prezes Juliusz hr. Bielski, Edmund hr. Krasiński, gen. Tadeusz Rozwadowski i Dr. Sander. Po ośmiogodzinnych naradach, podczas których, ułożony już w październiku, statut, raz jeszcze dokładnie przetrutynowano, statut ten, jako założyciele Związku podpisali reprezentanci Polskiego Towarzystwa Łowieckiego w Warszawie, Wileńskiego Towarzystwa myśliwych, dalej delegaci zespołów łowieckich w Lublinie, w Białymstoku i w Kowlu, tudzież nasi delegaci. Statutu nie podpisał wówczas Polski Związek Myśliwych w Poznaniu, reprezentowany na konferencji przez Wielkiego Łowczego Pana Jantę-Pułczyńskiego, jednak stół obrad opuściliśmy pod wrażeniem, że przystąpienie P. Z. M. w Poznaniu w najbliższej przyszłości wątpliwości nie ulega i że w ten sposób myślistwo całej Polski utworzy wkrótce jednolity front, pod komendą Centralnego Związku w Warszawie. Obecnie sprawa Związku jest w stadjum starań o zatwierdzenie statutów, po czem Stowarzyszenia w Związku reprezentowane, wyślą znowu swych delegatów (wybranych już według norm, statutem przewidzianych), celem dokonania wyboru Zarządu, który niewątpliwie bezzwłocznie rozpocznie owocną działalność ku obronie, ochronie i podniesieniu polskiego łowiectwa.

W sprawie dorocznego zjazdu M. T. Ł., postanowiono zjazd ten odbyć w pierwszej połowie czerwca, pozostawiając oznaczenie dnia Prezesowi.

Z powodu nadeszłej od jednego z delegatów propozycji wprowadzenia takich pozdrowień myśliwskich, któreby wyrugowały niemieckie „Weidmannsheil“ i „Weidmannsdank“, rozwinęła się dłuższa dyskusja, której wynikiem było stwierdzenie, że sprawa jest rzeczywiście ważna i aktualna, że jednak może być załatwioną definitywnie tylko przez Centralny Związek, boć przecie chodzi o pozdrowienie, któreby się przyjęło w całej Polsce, a nietylko w kilku Województwach. Jest jednak pożądanem, by myśliwi nasi utarte już w pewnych okolicach pozdrowienia, lub świeżo przez się obmyślone, zgłaszali nam pisemnie, jest bowiem możliwem, że bogata nasza gwara łowiecka pokona te szczególne trudności, że wyrażenie takie musi być jędrnem, a jednak tak ogólnikowem, by we wszystkich okolicznościach zastosowanem być mogło.

Termin następnego posiedzenia naznaczono na dzień 8 marca b. r. o godz. 5. popołudniu.

OD WYDZIAŁU i REDAKCJI!

Wykonując uchwałę Wydziału z dnia 7. lutego b. r. wysłano niniejszy numer „Łowca“ tym wszystkim członkom, którzy dotąd raty wkładki za I-szy kwartał nieuiścili za pobraniem pocztowem.

Nie wykupujący tej przesyłki zostaną z listy członków wykreśleni.

Prócz konieczności usunięcia dość znacznych w dziale wkładek zaległości, skłoniła Wydział do wydania takiego zarządzenia potrzeba ostatecznego ustalenia rzeczywistej ilości członków Towarzystwa, gdyż ilość ta będzie rozstrzygającą tak odnośnie do pytania, ile głosów Towarzystwu w Centralnym Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich będzie przysługiwać, jak niemniej ona właśnie ma być miernikiem wysokości opłacać się mającej przez Towarzystwo do Związku wkładki rocznej.

Wszystkich nadto członków upraszamy, by **wkładkę na II-gi kwartał w wysokości 8.000 Mkp.** zechcieli jaknajrychlej dołączonymi do dzisiejszego numeru czekami wpłacić, przyczem podkreślamy jeszcze raz, że **członek Towarzystwa opłaciwszy wkładkę, otrzymuje już Łowca „gratis“**, tak, iż podana w nagłówku i poniżej cena prenumeraty nie dotyczy członków Towarzystwa, lecz tylko zwyczajnych prenumeratorów „Łowca“, których poza członkami, otrzymującymi pismo z tytułu przynależności do Towarzystwa, mamy teraz także znaczniejszą ilość.

Do tych to właśnie prenumeratorów, którym do zeszytu dołączyliśmy także czeki, zwracamy się z apelem, jakie każde perjodyczne wydawnictwo w stosownym czasie w swym tekście zamieszczać zwykło: **„Czas odnowić przedpłatę na II-gi kwartał!“ Prenumerata ta wynosi 5.000 Mkp.**

Prenumeratorom, którzy przedpłaty na II-gi kwartał w ciągu marca nie uiszczą, zostanie wysyłka „Łowca“ za kwiecień zastanowioną.

Podaną w n-rze 2/23 sumę dobrowolnej daniny prostuje się na kwotę 3,389 990 Mkp., gdyż niektóre poszczególne pozycje podano tam za wysoko, co stwierdzono dopiero przy książkowaniu nadesłanych na poczet wkładek i daniny pieniędzy, a gdy tę daninę złożyli w dalszym ciągu: Florjan Jaworski 5.000, Marjan Grodzicki 5.000, Julian Godlewski 2.000, Dr. Konstanty Nowiński 5 000, Edward Kamieński 2.000, Jerzy Koszarski 50.000, Władysław Gołębiowski 2.000, Wojciech Brzeżański 3.000, Stefan Ostrowski 2.000, Stanisław Tokarz 2.000, Zarząd dóbr Zamek koło Magierowa 15.000, Roman Hauser 5.000, inż. Władysław Danek 5.000, Bronisław Bodzioch 1.000, Leon Szuba 3.000, Adam Rylski 20.000, Dr. Emil Roiński 10.000 Tow. myśl. „Djana“ w Łańcucie 12.000, Jan Kunstman 7.000, K. Kintzl 5.000, Aleksander Pawlik 5.000, Stanisław Graff z Iwanikówki 5.000, Józef Wojtnń 2.000, Kazimierz Misiągiewicz, 5.000, Edward hr. Mycielski 10.000, Dr. Bolesław Korolewicz 5.000, Dr. Stefan Gajewski 15.000, Jan Gabryś 2.000, Władysław Skibniewski, 5.000, Józef Janusz 5.000, J. J. i B. B. przy sposobności płacenia wkładek, dodatkowo po 5.000, władysław Pawłowski 2.000, Leszek Oksza Grabowski 25.000, Jan br Przychocki 5.000, otrzymujemy kwotę 3,651.990 Mkp, jako dotychczasowy wynik daniny.

Na liczne zapytania odpowiadamy tą drogą, że dzieł Włodzimierza Korsaka „Rok myśliwego i „Na tropie przyrody“ opowieści dla młodzieży, w komisie nie mamy, pragnący je zatem nabyć zechcą się zwrócić nie do nas, lecz do którejkolwiek lepszej księgarni we Lwowie lub w Krakowie. Cena księgarska egzemplarza broszurowanego „Roku myśliwego“ wynosi obecnie 21.600 Mkp., oprawnego w płótno 28.800 Mkp., zaś cena dziełka „Na tropie przyrody“ 13.000 Mkp. Przy tej sposobności polecamy też myśliwym i hodowcom pracę Jana Sztolcmana „Łowiectwo“, cena księgarska 10.800 Mkp. Zawiadamiamy też, że z podanymi powyżej cenami, liczyć się można będzie prawdopodobnie najdalej tylko przez 2 pierwsze tygodnie marca, gdyż w połowie każdego miesiąca prawie regularnie Związek księgarzy ustala nowy mnożnik i ceny wszystkich wydawnictw w ten sposób znacznie podwyższa.

Komunikujemy także naszym członkom i czytelnikom „Łowca“, że liczne nasze zabiegi i korespondencje, mające na celu, by wykryć krajowe lub zagraniczne źródła nabywania żywej zwierzyny dla rozpłodu i odświeżenia krwi, nie odniosły pożądanego skutku, z kilku miejsc bowiem nie otrzymaliśmy wogóle odpowiedzi, inne zaś były treści przeczącej. Z odpowiedzi Polskiego Związku Myśliwych w Poznaniu (zresztą jedynie nam odwrotnie przesłanej), dowiedzieliśmy się, że niestety i w tamtych okolicach Polski handel żywą zwierzyną nie jest dotąd widocznie zorganizowany. Tenże P. Z. M. zawiadomił nas natomiast uprzejmie, że, firma A. Valla w Przerowie na Morawach dostawia żywą zwierzynę, a to: zające po 112 fr. franc., parę kuropatw po 62 fr., parę bażantów po 106 fr. incl. koszta opakowania i zabezpieczenia.

Czy sprowadzanie zwierzyny po tak wysokiej, a bardzo możliwie obecnie już znowu wyższej cenie, jest racjonalnem, musimy pozostawić kalkulacjom ewentualnych reflektantów.

Cenę oddania członkom odznak podnosimy niniejszem na 3.200 Mkp., gdyż w toku wykonania nakładu Towarzystwu cena odbioru również znacznie podniesioną została.

W interesie naszych członków i czytelników komunikujemy wreszcie, że inż. mjr. Hackbeil w Przemyślu — Zasanie, ul. Lipowa Górna l. 5, Koszary 6. p. saperów, ma do zbycia parę sztuk szczeniąt pełnej krwi wyżłów niemieckich (brązowo-popielatohreczkowatych). Reflektującym właściciel chętnie wyjaśnień pisemnych udzieli.

Sprostowania.

Nr. 1/23, str. 11: w poczet członków przyjęty został Piotr Gągola (nie Gorgola).

Nr. 1/23, str. 12 — 1 półkolumna — 17 wiersz z góry, ma być Jan Gołębiowski (nie Gołąbiowski).

Nr. 2/23, str. 28 — 1 półkolumna — 3 wiersz z góry: daninę 10.000 Mkp. złożył Władysław hr. Bobrowski (nie Borkowski).

Centralny Oddział Kinologiczny w Poznaniu.

Statutowe Walne zebranie „C. K. O.“ odbyło się dnia 18/I. b. r. Na porządku dziennym był wybór nowego Zarządu na rok 1923, zmiana ustaw i regulaminu, odczyt p. Kazimierza Smulkowskiego, na temat: „Dlaczego musimy wymagać od wyżła dowodnego ciętości?“ i t. d.

Na rok 1923 uchwalono pobierać składki w następującej wysokości: dla zwykłych członków 5.000 Mkp., dla leśników, polowych i treserów 1.000 Mkp., a zaś stawkę za zgłoszenie kandydata do konkursu na 5.000 Mkp., dla leśników, polowych i treserów 2.000 Mkp.

Na rok 1923 wybrany został następujący Zarząd:

Prezes X. Niedbał; sekretarz K. Królikowski i skarbnik Stefan Marweg (wszyscy powtórnie). Oprócz tego wybrano trzech zastępców i dwu ławników. *K. Królikowski.*

Po zamknięciu numeru.

W zebraniu dzierżawców polowań w lasach państwowych, na dzień 26. b. m. przez Prezesa M. T. Ł. zwołanem, wzięli udział Adam hr. Zamojski, reprezentujący także rewiry dzierżawione przez hr. Potockich z Krzeszowiec i przez Zdzisława hr. Tarnowskiego z Dzikowa, Leon ks. Sapieha, Henryk Prek i inż. Adam Ebenberger. Pod przewodnictwem Prezesa, po wyczerpującej dyskusji, ustalono te zasadnicze punkty, które, na uczynioną dzierżawcom, ze strony Okręgowego Zarządu lasów i dóbr państwowych, propozycję podwyższenia czynszu, w odpowiedzi każdego dzierżawcy znaleść się powinne.

Dzierżawcom, ktorych adresy i ten ich charakter jest nam wiadomy, zostanie tekst powziętej uchwały w najbliższych dniach przesłany, nieotrzymujący zaś takiego komunikatu najdalej do 5. marca zechcą upomnieć się o to bezzwłocznie kartą pocztową, skierowaną do biura M. T. Ł.

Zauważa się wreszcie, że odpowiedź na propozycję Okręgowego Zarządu powinna mu być daną najdalej do 15. marca.

Prosimy naszych czytelników, by w korespondencjach i przy zamówieniach powoływali się na ogłoszenia w „Łowcu“.

Zarząd lasów Chrząstowskich i Starokoniecpolskich (poczta Koniecpol, majątek Chrząstów), poszukuje do kupna 1 puhacza i 2) samic zajęczych.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów, Zimorowicza 14. — Tel. 740.
Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.